



Silna wola.

Jedną z najważniejszych wad naszych jest brak silnej woli.

Wada ta stanowi wielką przeszkodę w osiągnięciu lepszego jutra. Widzimy często nasze błędy i rozumiemy dobrze, że takie postępowanie może nas doprowadzić do skutków opłakanych, albo przynajmniej da nam wiele strat, a pomimo to nie umiemy się przemódz, powstrzymać lub wejść na inną drogę.

Ile to razy pijacy po wytrzeźwieniu wyrzekają się tego szkodliwego nałogu. Wiedzą, że piciem wyrządzają sobie i dzieciom krzywdę, lecz czy wielu z nich naprawdę zaprzestaje picia trunków? Wystarczy, aby zobaczyli wódkę, albo, żeby ich kto zaczął namawiać, a już nie oprą się pokusie.

Tosamo można powiedzieć o innych wadach, nałogach i przyzwyczajeniach, jak paleniu papierosów, rozpuszcie i t. d., wielu chciałoby się od tego uwolnić, cóż kiedy za słaba wola na to, i nasze wysiłki spełniają na niczem.

Wielu z nas ma nieraz rozległe plany, w nauce, poprawie gospodarstwa, lub w pracy nad oświeceniem lub nauczaniem swych braci, a jakże często te plany po-

zostają tylko planami? Chęci są, lecz nie ma tej silniej woli, któraby je zamieniła w czyn.

Tylko silna wola nadaje życiu kierunek celowy, podnosi nas na wyższy szczebel oświaty, dobrobytu, a słaba — przyczynia nam martwość i upadku.

Dażeniem najgorętszem każdego z nas powinno być wyrobienie w sobie tego nieocenionego przymiotu, który streszcza się w słowach „chcieć — to zrobić“. Bo tylko dla silnych duchowo zabłyśnie przyszłość iepsza.

Zapytacie zapewne, czy człowiek może w sobie silną wolę wyrobić?

Dlaczego nie? Owszem; trzeba tylko chcieć i zawsze pamiętać o przewyciężaniu się przy każdej sposobności. Nie nakładajmy na siebie odrazu za dużo obowiązków, ale gdy już coś postanowimy, wykonajmy to do najmniejszego szczegółu. Powiedzmy sobie „muszę to zrobić“ i od zamiaru nie odstępujemy.

A gdy raz i drugi przewyciężymy swoje lenistwo, powstrzymamy się od pokus, to już coraz łatwiej będziemy mogli walczyć ze sobą i wyrobimy sobie tę najważniejszą zaletę ludzką — silną wolę.

„Ciągłe frasowanie się całym krajem ma mniejszą wartość od utarcia nosa zasmolonemu dziecku“ — tak określa nam

pisarz Prus stosunek słowa do czynu. A iluż to mamy ludzi, pełnych najlepszych chęci, ludzi, którzy wiele myślą, wiele czują, wiele mówią, nawet zaczynają, ale nie umieją przeprowadzić, skończyć. Jest to kalectwo, gorzej nawet — letarg. Czem mięśnie dla ciała, tem wola dla duszy. Bez mięśni człowiek byłby nieruchomą, martwą istotą, bez woli nic uczynić nie może. Czasem, czasem, gdy silne pobudki pchną go nagle do czynu, może stać się bohaterem, ale wytrwałe dążenie do celu, nieustraszona walka z drobnymi przeszkodami, powolne torowanie sobie drogi, wytkniętej przez umysł i serce, nieustanna praca, niezrażanie się przy pierwszej zawadzie — jest dlań niemożliwym, niedoścignionem.

Żelazna, żywiołowa, siła woli jest darem wrodzonym, wielkim darem natury, uśmiechem losu dla wybranych; wychowanie jej nie da. Ale można wyrobić w dziecku wolę nabytą, tę, która nie budzi podziwu, nie porywa, ale która prowadzi czyn w ślad za wzniosłym zamiarem. A matki tak mało zwracają uwagi na tę, tak ważną stronę wychowania.

Przyzwyczajajmy dziecię od lat najmłodszych do samodzielności i wytrwałości. Prowadzenie dzieci na pasku, ciągłe napominanie ich na każdym kroku — wyrabia zniechęcałość, zgubną dla charakteru przyszłego członka społeczeństwa.

— „Nie biegaj, zapnij się, bądź ostrożny, nie zbliżaj się do pieca, oddaj zapalki, nie skalecz się nożem, nie głaszcz obcego psa“!...

Matko, zastanów się nad każdym „nie“, nim je wypowiesz, bo to „nie“ tamuje wolę w twem dziecku.

Dalej: pomagajmy usilnie dziecku w jego przedsięwzięciach. Jeśli postanowiło coś, niech uczyni to, choćby mu to miało przyjść z wielkim trudem. Ale trzeba, aby matka każda umiała odróżnić przebłęski woli w dziecku od uporu, który należy leczyć, gdyż jest przykrą wadą.

Dziecko twe chce kupić książeczkę, która mu się podobała, niech więc odkłada swe drobne dochody, niech wyrzeknie się słodyczy, przyjemności, niech wie, że

do celu prowadzi nie tak gładka droga, jak sądziło.

Całe wychowanie umysłowe zmierzać powinno do utrwalenia silnej woli, do chcenia moralnego. Religijne zasady, wszechstronny umysł i dobre serce nie zawsze powstrzymają w porę waszego syna, gdy podszepty rówieśników i gra własnej krwi wskazywać mu będzie nie tę drogę, która wiedzie do dobrego postępu ale inną pochylą, spadzią, niebezpieczną. Nie ludźcie się, że syn wasz nie będzie chwiał się na rozdrożu; a jeśli wolę ma słabą?... A i kobiecie do jej pracy nad wychowaniem przyszłych pokoleń, do jej cichych poświęceń — silna wola jest koniecznie potrzebna.

Wszyscy też pamiętajmy o tem, co powiedziała nasza powieściopisarka Orzeszkowa:

„Żaden człowiek siły swojej nie zna, dopóki jej w potrzebie z siebie nie dobędzie“.

Poszukajmy i my tej siły w sobie, a łatwiej nam będzie żyć i pracować.

Skarby serca.

Serca ludzkie — to kopalnie,
W których są ukryte stale
Różne wielkie czucia, siły,
Te szlachetne serc metale.

Czasem znajdziesz miedź, żelazo,
Czasem nawet żyły złota —
Umiej tylko dobrze szukać,
Kiedy przyjdzie ci ochota.

Ale często mimo trudów,
Wielkie czeka cię strapienie,
Bo zamiast szlachetnych kruszców,
Znajdziesz — piasek i kamienie!

Do Kobiety.

Kobieto! Tyś aniołem, gdy nad męską
[głową,
Nad czołem utrudzonym od walki i znoju,

Oczy twoje jutrenką zabłysną różową,
A usta niosą słowa miłości, pokoju.

Kobieto! Tyś aniołem, gdy na skroń mło-
[dzieńca,
Biała dłoń twa opadnie i ogień ochłodzi,
Gdy słowo twe natchnione do trudów za-
[chęca,
Gdyś jest gwiazdą przewodnią i patronką
[młodzi.

Kobieto! Tyś aniołem, gdy wdzięcznie
[schylona,
Nad kołyską dziecięcia złote gonisz mary,
I synka otulając w matczyne ramiona,
Wcześniej uczysz go wielkiej modlitwy —
[ofiary.

Kobieto! Tyś aniołem... w łunie bojowiska,
Na tle nieba krwawego wśród gwiazd
[zbladłych z trwogi,
Twój welon, niby gwiazda odkupienia
[błyska,
Gwiazda, co ma ludzkosci nowe wskazać
[drogi.

Kobieto! Tyś aniołem domowego progu!
Wokół ciebie czeladki grzmiały gwary, szcze-
[bioty,
A ty ją wiedziesz cicha ku twojemu Bogu,
Po drodze poświęcenia, obowiązków, cnoty.

Kobieto! Tyś aniołem! O bądź dla lu-
[dzkości,
Zawsze tym ideałem, czynów jej koroną,
Wsparciem męskich wysień, skarbnicą
[miłości,
Gwiazdą tak zda się bliską a niedośc-
[ignioną!

O, niech ja ciebie zawsze widzę taką
[jasną,
Niech wiem, żeś ty mi stróżem, do czynu
[podniętą:
A choć gwiazdy dokoła na niebie pogasną,
Po twej drodze, niebiosą odnajdę — ko-
[bieto!

Władysław Betza.

Westchnienie.

O Boże wielki, Boże jedyny,
Niebieski Stróżu polskiej krainy,
Coś za nas cierpiał męki okrutne
Patrz, jakie życie pędzimy smutne!

W ciężkiej niewoli lata czekamy,
Więc Cię o lepszą przyszłość błagamy.
Ty, co cierpiełaś z ludzkiej swawoli.
Wejrzyj że na nas, cośmy w niewoli!

O, nie odwracaj oblicza swego,
Od Twego ludu umęczonego!
Tobie ufamy tylko jedynie,
Że nie dasz zginąć polskiej krainie!

Jan z Zabudzia.

Koniec pana na Wiznie.

Szkic historyczny z XII wieku.

I.

Zasepiony, chmurny po wielkiej kó-
nacie zamkowej chodził Bolesta, pan na
wizkim kasztelu, rycerz dzielny, Bolka Kę-
dzierzawego faworyt. Żyłastemi dłońmi
brodę rwał czarną, palce w krucze włosy
wpijał, to się po biodrach uderzał, to pięści
zaciskał a z ust mu kłątwy się rwały, z
ócz skry padały złowrogie. Do zwierza
dzikiego był podobny, którego w klatce
zamknięto, zbawiwszy swobody, jakiej w
puszczach lesistych zażywał.

On, palatyn możny, pohańbienia dumy
swej doznał. Wszak-ci nie przez to łaska-
mi i zaszczyty odarował go król, jedno
że mężniej nadeń nikt prawie z rycerstwa
w boju nie stawał; wszak-ci to on poskra-
miał tłuszcze pogańskie a u nich zyskał
taką sławę, że spory i waśnie u niego
rozstrzygano. I oto możnemu panu temu
Okszyce dziewczki odmówili, dla jednego
ubogiego rycerka, któregoby mógł maka-
tami ze skarbcza udusić. Mówili. że dziew-
ka do niego serca nie ma, a do tamtego
łgnie — słyszaneż rzeczy, izby woli pod-
wik słuchano? To też kasztelan odmowy

tej znieść nie mógł. Dziewkę z rodzicielskiego domu przemocą porwał a chociaż po dziś opór mu stawiała i nie chciała ślubować, trzymał ją na zamku, pewnym będąc, że ją ugnie i do miłowania zniewoli.

Aliści Okszyce, ród możny, stary, szanowany, oburzyli się na postępek kasztelana. Ojciec dziewczki do króla jeździł, u biskupa płockiego był, oskarżenie na gwałt wnosząc i sprawiedliwości się domagając. Król ulubieńca ani karać, ani go do siebie zniechęcać nie myślał. Biskup inaczej na rzeczy patrzył. Bolestę za gwałciciela uznawszy, przed sąd powołał, a gdy ten nietylko, że nie stanął, ale posły z nagrażaniem odprawił, srogą karą, bo kłatwą zagroził mu kościelną.

Na biskupstwie płockiem siedział podczas Werner, mąż chwalebny, miłością ku Bogu, czystością życia, pobożnością i rzadkimi umysłu przymiotami połączonymi z wysoką nauką i obyczajów ogłada, zalecony. Mąż ten owczarni swej jako dobry pasterz strzegł i nie dopuścił, iżby się bodaj najmizerniejszemu z maluczkich pokrzywdzenie stało. Boleście co należne oddawał, ale skoro o dopełnionem przezeń bezprawiu usłyszał, świętem oburzeniem zawrzał.

Nie może to być — mówił — iżby w moich oczach ważono się porywać na niewinność, na święte prawa rodzinne. Bolesta dziewczkę ojcom zwrócić musi, pokajać się i zaniechać zdrożnych zamysłów.

Mniemał świątobliwy mąż, że moc powagi kościelnej dumnego palatyna na drogę poprawy zwróci, że się upokorzy i słuszny wyrok uszanuje, ale całkiem inaczej się stało. Kasztelan, o dekreście biskupim usłyszawszy, niepohamowanym gniewem wybuchnął.

— On, on mnie kajać się nakazuje, dziewczkę zwrócić a może włosienicę narzucić? Niedoczekanie! Nauczę go ja, żali można z Boleszczycami poczynąć — wołał rozwścieczony.

I pięściami skronie tłukł, i dzbany chmielnego piwa wychylał, biskupowi się odgrażając.

Żeby zasie pomście swej zadosyć uczynić, Karsko, włość do kościoła płockiego należącą, najechał i zajął.

Upominali go i król, i przyjaciele, żeby Bogu poświęconej własności nie tykał, on radom i napomnieniom urągał, odpowiadając, jako zuchwałość biskupią karci.

Werner przed sądy go zawezwał, gdzie przecież sprawiedliwość możności się nie uległa, i bezprawnie zagarnięte włości komu należy zwrócić kazała.

Ustąpił kasztelan z Karska, ale to nowe upokorzenie więcej go jeszcze przeciw biskupowi złością napoiło. I oto jak odyniec raniony się rzuca, przemyśliwając, czemu biskupowi dopieki za rzekomo śmiertelną obrazę.

— Ej, kasztelanie-drużbo — ozwie się z kąta wesolek Mucha, wielkiej u pana na Wiznie łaski zażywając — co ci się z mnichami zreć? Niebezpieczna z nimi sprawa... Jać ta do krotochwil jeno a uciechy, ano... tobie powiadam, zaniechaj tej wojny. Małoż ci Jaćwieży i inszej dziczy? Weźmij kołpak bojowy, mieczyk i hajda na pogaństwo! Krwie ci tam oni upuszczą, toć i na zdrowie pójdzie.

— A milcz-że plugawie plemię! ryknął Bolesta. — Żali chcesz, bym ci łba nie skrecił, krotochwile ostaw do pory. Sam wiem, co mam robić.

— Kasztelanie-drużbo, nie wiesz co robisz, bo cię złościę opętały i szarpią myślami, niby wiatr jesiennymi liśćmi. Ja ci przy kuflu wesela dodaję, ty mi koście rzucasz... i za to ci Bóg zapłać, ale godzi mi się też, chociaż robakiem plugawym mnie nazywasz, radę dobrą dać...

— Radę, ty? — mruknął kasztelan.

— Czemużby nie? — wyszczerzył zęby żółte Mucha. — Owo biskupowi się pokłoń, o dziewczce zapomnij i... do klasztoru idź. Tam cię z pewnością na godność wielką wysadzą, jeno że musisz próbny czas wytrzymać i drwa rąbać, wodę nosić a psom jadło warzyć.

Oczy Bolesty zamigotały strasznie, sunął ku złośliwemu wesółkowi, ale ten, widząc, iż go co złego spotkać może, pom-

knął ku drzwiom, któremi właśnie wchodził Bieniasz, brat kasztelana.

Był to olbrzym o muskularnych członkach, twarzy włosami obrosłej, ciężki, ponuro patrzący, choć młody jeszcze. Chrząst święty zeń grzech pierworodny zmaszał, ale uczucia chrześcijańskie nie przyjęły się w jego sercu, ile że podówczas wiara gruntu trwałego nie dosięgła. Chrzczono dziatki, do kościołów chodzono, księżę słuchano, postów przestrzegano, ale nie z przekonania, tylko dlatego, że tak czynili królowie, tak nakazywali biskupi i księża. Atoli pod zewnętrzzną powłoką chrześcijaństwa żyło przywiązanie do starych bogów, w niejednym dworze, w niejednej chacie bałwany chowano i tym ofiary przynoszono potajemnie.

Brat Bolesty w lasach, na łowach i utarczках wojennych życie pędził, był niemal dzikim człowiekiem. Jemu byle łuk i kołczan, byle mieczyk a oszczep, już ci dosyć. Na widok krwi śmiał się, jak on wilk, co się stadami po puszczy włóczy. Ujrzawszy go Bolesta ręce wyciągnął.

— cóż? cóż? — spytał.

— Dziś biskup do Biskupic zjechał — odparł Bieniasz na ławie siadając.

— Więc... — podjął kasztelan, za ramienia go ujmując.

Bieniasz ręce rozwarł.

— Twoja wola — rzekł — ale zważ, że mnichy na czarach się znają. Zdradnie z nimi wojować...

Roześmiał się Bolesta, obok Bieniasza siadł, miodu syconego przynieść kazał i wszczeła się pomiędzy braćmi cicha rozmowa.

Trwała dosyć długo; kasztelan coś przekładał, Bieniasz się ociągał, wreszcie dłońmi o dłoń plasnęli.

Zgoda — rzekł Bieniasz. — Jać tam nie będę winowaty, jeżeli się na ukręconym przez siebie postronku powieszisz.

II.

Pora była zimowa. Śnieg niby opo-
ną ziemię otulił, gałęzie drzew srebrną okrył łuską i tafle lodowe w białe pieluszki

spowił. O tej porze biskup Werner, kościoły objeżdżając, w Biskupicach, włości kościelnej, na nocleg przystanął.

Znużony rychło na spoczynek się udał, mając przy sobie O. Benedykta, mnicha benedyktyńskiego zakonu i jedno pacholę służebne. Sędziwy pasterz jeszcze nie przymknął powiek, gdy z poza szczelin zasuwy, okno opatrującej, błysnęło światło niezwykle, a wraz z tem krzyki się rozległy, tętent galopujących koni i szczęki orężne.

— Na Boga, co to być może?... — zawołał strwożony O. Benedykt.

— Znać nieszczęście włość nawiedziło — odparł biskup, powstając z łoża — ktoś zarzucił łuczywo i oto gore. Spiesz my z ratunkiem.

— Ale owe krzyki... ono szczekanie zbroiczek... ojciec wielebny, coś złego prze-
czuwam...

— Żali strach może być udziałem sług Chrystusa? — napomniął biskup. — Sumienia nasze czyste, czegoż się lękać mamy?

Nie domówił tych słów, gdy drzwi z trzaskiem się rozwarły i w nich ukazał się tłum uzbrojony, o twarzach dzikich, trunkiem zaognionych, dzierżący w ręku topory, mieczyki i oszczepy. Blask kilku żagwi, niesionych przez przodujących, oświecał tę rozszalałą tłuszcę, nadając jej charakter przerażającej grozy.

— Pokój z wami, czego żądacie — począł biskup, ujmując za krzyż, który mu na piersi zwisał.

— Śmierć mnichowi, śmierć czarownikom! — wrzasnął tłum i nagle z tej drużyny szalonej wysunął się Bieniasz, z podniesionym w górę toporem.

— Będziesz miał spokój, miłościwy biskupie! — zarychotał ochrypłym głosem, poczem ugodził w głowę bezbronno starca.

— W ręce Twoje, Panie, duszę moją oddaję... Przebac im, bo nie wiedzą co czynią! — szepnął biskup i uciekł na zawsze.

O. Benedykta nie oszczędziła tłuszcza morderców, jeno pacholę ocalało, aby świad-

czyć o karygodnym czynie, który całem Mazowszem wstrząsnął.

Była to zemsta wizkiego pana za rękomo doznana obrazę.

III.

Do katedry gnieźnieńskiej od rana napływały tłumy wylekłe, wybladłe, milczące, ze strachem na siebie spoglądające. W powietrzu brzmiał odgłos dzwonu — dziwnie groźny, jakoby nieszczęsną chwilę zapowiadający. Serce nie uderzało w obie strony blachy, lecz w jedną, a ludzie wiedzieli, co to znaczyć miało.

Dnia tego miał być wyklęty Bolesta, kasztelan wizki a potem na kaźń powleczony.

W kościele zebrali się mnodzy dostojnicy państwa, był i król Bolesław, i jego witezie, i co zaniejsi z władków i ziemian. Gdy świątynia zapełniła się ściśle przed ołtarzem ukazali się: arcybiskup gnieźnieński Piotr, krakowski biskup Geodeon i poznański Bernard w otoczeniu liczego duchowieństwa. Wszyscy nieśli czarne świece a twarze mieli smutne i surowe.

Po odśpiewaniu żałobnego psalmu ciska zaległa świątynię i rozległ się głos arcybiskupa:

— Wyklęty jest Bolesta, wizkiej ziemi kasztelan, wyklęty ze służebniki swoimi i z przyjaciół, wyklęty z tymi, co radę i pomoc jego pomysłom niecnym dawali...

Długo brzmiała klątwa; przerażająca jej treść trwogą przejmowała serca zgromadzonych. Łamano ręce, wzdychano, a gdy arcybiskup kończąc smutny obrzęd wygłosił: „Anathema! Anathema! Anathema!” a duchowni powtórzyli: „Fiat! Fiat! Fiat!” i jeli łamać świece a na posadzkę rzucić, takie łkania, taki płacz się ozwał, że aż sklepienia świątyni drżały.

Po tym obrzędzie król z duchowieństwem sunęli ku głównemu rynkowi, gdzie kaźń się odbyć miała. Ułożono tam wysoki stos smolny, a obok kocioł ustawiono, w którym wrzał воск roztopiony.

Wyprowadzono wreszcie i przestępcę.

Do człowieka nie był podobny; włosy mu się jeżyły, twarz miał pożółkłą, wargi, do krwi pokąsane a w oczach sztyderstwo. Zakamieniały był grzesznik, bo nie tylko, że się nie kajał, ale gdy około duchownych przechodził, plunął w ich stronę, co widząc zebrany lud, okrzyk wydał oburzenia.

Na stos wprowadził go mistrz z pachołkami i tam powrozami został związany, poczem pisarz królewski dekret odczytał głośno.

Bolesta, usłyszawszy co go czeka, wykrzywił twarz i jął plugawemi słowy złorzeczyć Bogu, biskupom i królowi. Bluznierstwa te rychło mu przerwano; owinięto go wielkimi płatami lnianego płótna przywiązano do słupa w środku stosu umieszczonego a następnie poczęto roztopionym oblewać waskiem.

Nieludzki ryk rozdarł powietrze; skazaniec wił się, powrozami targał, lecz niebawem umilkł.

U słupa stała bezkształtna jakaś, potworna masa.

Mistrz podpalił stos; smolne polana w jednej chwili się zajęły — płomień strzelił olbrzymią kolumną, osłoniętą czarnym płaszczem dymu...

Taki był koniec dumnego pana na Wiznie.

Bieniasza ująć nie zdołano; lud opowiadał, że go ziemia pod Zakroczymiem pożarła.

Ciało biskupa Wernera złożono w katedrze płockiej; odwiedzający grobowiec męczennika doznawali wielu cudownych łask. Dziś ani śladu grobu tego.

Złote ziarnka.

Człowiek, jak umie, osądzi, —
Bóg, jak zechce, rozsądzi!

—o—

Mysleć o małżeństwie,
Gdy na głowie zima —

Jest to gryść orzechy,
Kiedy zębów niema.

—o—

Z wiary waszej — wola wasza,
Z woli waszej — czyn wasz będzie.

—o—

Prawda jest żywiołem życia, a pozór
prawdy niesie w łonie swoim zaród śmierci.

—o—

Niedość jest kochać dobrych, trzeba i
złych miłować, gdyż tylko miłością można
z nich złość wypłenić.

—o—

Gdys bogaty i w zaszczytach, nie
wierz pochlebcom, bo gdybyś zubożał,
jużby cisami, gorzką prawdą sypali ci w
oczy.

Rady gospodarcze.

Dżdżownice. Patrzac na marną dżdżownicę, czyli glistę ziemną, pełzającą zwolna po ziemi, nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jest ona pożyteczną dla człowieka. Gdyby nie dżdżownice, trudno byłoby nawet żyć na ziemi i ludziom, i zwierzętom. Bo dzięki pracy tych pokornych, pełzających stworzeń mogą rosnąć trawy i zboża.

Przed dawnymi, bardzo dawnymi laty, zanim ludzie wynaleźli pługi, dżdżownice tylko swemi długimi giętkimi ciałami spulchniały twarde bryły ziemi. Małe otwory, czyli nory, robione przez nie, wprowadzają powietrze do ziemi, odprowadzają wodę deszczową z pod korzeni roślin, i w ten sposób ziemię czynią lżejszą i żyzniejszą. Dżdżownice nie tylko, że spulchniają grunt, ale ziemię jałową i ubogą przerabiają na żyzną i urodzajną. Czynią to przez połykanie ziemi i spadłych liści, które, po przetrawieniu, robak wyrzuca z siebie w postaci małych grudek. Deszcz rozmywa te grudki, albo wiatr roznosi je i rozsypuje po polach. Dzięki temu miej-

sca zupełnie nieurodajne zamieniają się w grunta, na których można siać żyto i inne rośliny. Praca tych użytecznych robaków nie kończy się nigdy, bo ziemia ciągle potrzebuje przesiewania i przygotowania, ażeby nie skamieniała. Najurodzajniejszą czarną ziemię wyrabiają dżdżownice, jeżeli jedzą opadłe liście. Żaden ogrodnik nie potrafi tak dobrze użyźnić ziemi, ani żaden oracz tak jej nie uprawi. Dżdżownica pracuje nawet w dni dżdżyście, kiedy oracz nie może orać i przygotowywać gruntu pod zasiew. W miejscach zbyt suchych dżdżownice nie mogą żyć, więc tam grunt jest nieurodajny i twardy.

Dżdżownice przerabiają corocznie ziemię na dwa cale grubości na każdej morderze gruntu. Ale trudno obliczyć, ile ziemi jeden robak przerobi: jest przypuszczenie, że dorosła dżdżownica przerabia przeszło funt ziemi w ciągu roku.

Pewien badacz, śledzący życie dżdżownic, posypywał pole warstwą wapna lub popiołu i obliczał, ile czasu potrzebowały dżdżownice do pokrycia wapna ziemią urodzajną. Miał on w swym ogrodzie ściężkę, wyłożoną dużemi płytami kamiennymi. Dżdżownice zaczęły kopać w szparach między płytami i wyrzucać na wierzch grudki ziemi. Z początku ogrodnik zmiatał ziemię, lecz później zaniechał tego. Dżdżownice, pozostawione w spokoju, pokryły te płyty kamienne warstwą dobrej ziemi. Znikły pod nią kamienie, puściła się trawa i zakwitły stokrotki. Przez lat trzydzieści dżdżownice pokryły kamienie warstwą ziemi, grubą na cal.

Tym samym sposobem dżdżownice pozasypywały dużo starych budowli: przez dziesiątki, setki i tysiące lat wyrzucając z głębi ziemię, pokryły nią doszczętnie całe domy, które pod nią znikły. Więc nie mamy uważać tego robaka za istotę marną lub nieużyteczną, wiedząc, jakich wielkich dzieł potrafi on dokonać swoją pracą.

Nasienie lniane w hodowli cieląt. Praktycy twierdzą często, że nasienie lniane w stanie zmielonym działa ujemnie na cielęta, które nie chcą przyjmować poży-

wienia zawierającego ten środek przeczyszczający. Nasienie lniane jednak jest nadzwyczaj ważnym środkiem w hodowli cieląt i działa pobudzająco na organy trawienia, ujemne zaś skutki przypisać należy tylko temu, że często udziela się cielętom tego środka w zbyt wielkiej ilości, albo przyrządza się odpowiedni napój w niewłaściwy sposób. Najwłaściwszy jest następujący sposób przygotowania odpowiedniego napoju: Do mleka odtłuszczonego, dokładnie przegotowanego i ochłodzonego do temperatury letniej, mniej więcej 20—25 stopni Celsjusza, w ilości stosownie do wieku cielęcia wsypuje się trochę, małemi dawkami mękę z nasienia lnianego w wadze 25 do 30 gramów i miesza dokładnie; we wszystkich tych dawkach razem na 100 funtów żywej wagi winno przypadać najwyżej 125—250 gr. nasienia lnianego. Starszym zaś cielętom udzielać można mąki z lnianego nasienia w stanie suchym, najlepiej z śrutem owsianym w ilości $\frac{1}{4}$ części całej dawki, zawsze jednak przed podaniem innego pożywienia i napoju.

Fraszki.

Na łodzi. — Ho, nieszczęście! Łódź się przewraca! Wszyscy zginiemy w falach! — O, nie wszyscy, bo ja umiem pływać. — Ale ja nie umiem. — No, to ja ci zaraz pokażę, jak się to robi.

Trwała barwa. — Panie Szwarz, oszukałeś mię; mówiłeś, że te pończochy mają trwały kolor, ale oto barwa wyszła z nich na moje nogi, które stały się całkiem niebieskie: — To niech pani wymyje nogi w gorącej wodzie. — Próbowałam, ale daremnie; niebieska barwa nie zeszła. — A no, to widzi pani, że miałem słusność; barwa ta jest bardzo trwała.

Omyłka. Doktor pewien, po sutości śniadanku z kolegami, całkiem zamroczo-

ny wódeczką, został spiesźnie wezwany do chorego. Z trudem zaszedł do jego mieszkania i usiadł na brzegu łóżka, mówiąc: — Podaj mi pan rękę. — Lecz przez pomyłkę zamiast ręki chorego, wziął swoją własną i puls namacawszy, zawołał: — Przecie ten człowiek nie jest chory, on się tylko spił siarczyście!

Cóż miał robić? Sędzia pyta złodzieja, który już po raz piąty staje przed sądem: — Czy ci nie mówiłem tyle razy, abyś nie przywłaszczał sobie cudzej własności? — Ależ, panie sędzio, a coż będę brał, jeśli wszystko należy do innych?

Niepojednany. Filip blizki śmierci, odbywa ostatnią spowiedź. — Synu mój, — mówi kapłan — wiem, że trwasz w gniewie przeciw Jakóbowi. Musisz się koniecznie z nim pogodzić, jeżeli pragniesz otrzymać zmiłowanie Boże za grzechy. — Wobec zezwolenia Filipa, sprowadzono Jakóba i nieprzyjaciele się pogodzili. Po odejściu Jakóba, rzecze Filip do księdza: — Ale gdybym wyzdrowiał, ojcie duchowny, to ta zgoda za nic się będzie liczyć i znów będę się mógł gniewać z Jakóbem?

Zagadka.

Pierwsze jest dużą liczbą; drugie z trzeciem to części twarzy. Całość posiada każdy kraj na świecie.

Znaczenie zagadki

z nru 8-go „Niewiasty“

Koza.

Dobre rozwiązanie nadesłali: Wojciech Lubas, Michał Pawlik, Józef Górowicz, Józef Fijak, Anna Horecka.

Rozwiązanie zagadki

z nru 7-go „Niewiasty“

Bel-grad (Belgrad).

Przysłał M. Sliwa z Pietrzykowic.